

Z redakcyjnej teczki

Zoja Zawalo

OSADA TOCIN

Osada Tocin od północy sąsiadowała z miasteczkiem Kroszyn, przez które przepływa rzeka Szczara, od wschodu – z wsią Ułasy, od południa – z wsią Stajki, a od zachodu z torfowiskiem.

Osada miała kształt prostokąta, na którym wydzielono 20 dwudziestohektarowych działek dla osadników wojskowych zasłużonych w bojach o niepodległość Polski.

Jedną z takich działek otrzymał również mój ojciec Paweł Szaban, który jako ochotnik wstąpił do legionów Marszałka, walczył z bolszewikami a nawet był ranny i leżał w szpitalu wojskowym w Warszawie.

Opowiadał mi, że nie wierzył iż otrzyma jakąś ziemię po wygranej wojnie, a jeżeli nawet coś dadzą, to może najwyżej ze 2 hektary... I choć ziemia okazała się nieużytkiem zrujnowanym przez działania wojenne i porośniętym chaszczami, ojciec nie mógł uwierzyć w odmianę swego losu, aż do otrzymania aktu nadawczego, a następnie hipoteki na własne 20 ha ziemi. Dotychczas bowiem, nic nie posiadał. Rodzice ojca umarli bardzo wcześniej – matka osierociła go, kiedy miał zaledwie 3 lata, a ojciec zmarł, kiedy miał 6 lat. Zostały mu trzy siostry i starszy brat, który przejął po rodzicach ubogą gospodarkę we wsi Hirzycze, powiat Baranowicze. W tej wsi urodził się mój ojciec, tam ukończył dwie klasy szkoły powszechnej i tam pracował u brata na ojcowiznie, aż do wstąpienia do legionów.

Po otrzymaniu ziemi w Tocinie, mój ojciec postanowił założyć własną rodzinę i ożenił się z Marią Dziadowiczówną, czyli moją mamą.

Mama urodziła się we wsi Kołpnica - również w powiecie baranowickim - pochodziła z rodziny wielodzietnej, miała 4 braci i 3 siostry. Kiedy miała 7 lat zmarł jej ojciec, a matka, kiedy moja mama miała już 21 lat. Była lepiej wykształcona od mojego ojca - ukończyła szkołę powszechną miejską i sposobiła się do seminarium nauczycielskiego, ale wybuch I Wojny przeszkodził w realizacji tych planów. A szkoda, bo mama była bardzo zdolna i utalentowana wokalnie. Wszyscy z rodziny mamy pięknie śpiewali.

Los jednak zrządził, że po wojnie, zamiast do seminarium, mama wyszła za mąż za mego ojca i zamieszkała w Tocinie.

Dzień po dniu ciężko harowali, aby ugory poryte okopami i lejami zamienić w urodzajną ziemię. Minęły lata, zanim działka została doprowadzona do porządku, a wyrwy po bombach napełnione wodą opadową, zamienione w normalne stawy, w których ojciec chciał hodować ryby dla celów handlowych, ale z jakichś powodów nie udało mu się ta hodowla i kiedy ja podrosłam - rybek w stawach już nie było. Była za to czysta woda i wspaniałe miejsca do kąpeli i zabaw w lecie. Tuż za stawami szumiał piękny brzeźniak, do którego chodziliśmy z moim bratem Gienkiem na grzyby, a mama smażyła je nam na śniadanie.

Stawy, łąka okalająca je i brzeźniak, to były ulubione miejsca do zabaw z dziećmi sąsiadów.

Zanim rodzice wybudowali dom, mieszkali w chlewie - w jednej części stała krowa a w drugiej zrobili pokoik dla siebie i coś mi się zdaje, że ja urodziłam się jeszcze w tym chlewie, choć mama mówiła, że już w domu...

Dom był ładny, duży, ale zwykły, pokryty tylko do połowy cynkową blachą. Druga połowa była pokryta zwykłą blachą pomalowaną na bordowo. W naszym domu były trzy

pokoje, duża kuchnia, a przy niej sień i spiżarnia. Była też piwnica. Wewnątrz dom był otynkowany i pobielony, a na zewnątrz oszalowany i pomalowany na jasnobrązowo.

Mama bardzo lubiła kwiaty i bardzo o nie dbała. Było ich dużo w całym domu i koło domu - było pięknie, kolorowo i pachnąco.

Obok domu był chlew dla świń i drobiu, a koło chlewu - stajnia dla koni i obora dla 6 krów. Jednak najwięcej w naszym gospodarstwie było przeróżnego drobiu, który mama hodowała, bo bardzo lubiła ptactwo. Była również duża stodoła na zboże i maszyny gospodarskie.

Rodzice byli bardzo pracowici i gospodarni. Ojciec po nieudanej hodowli ryb, zaczął hodować krowy i bardzo dbał o ich mleczność. Wypasał je na pobliskiej łące. Kupił centryfugę i odciagał z mleka śmietanę, którą co rano woził pociągami na sprzedaż do Baranowicz. Po pewnym czasie pojawili się konkurenci i ojciec zrezygnował z handlu śmietaną a za zarobione pieniądze kupił w Baranowiczach dwa domy – jeden murowany, a drugi drewniany. Miał nadzieję, że zarobi na tych domach wynajmując je lokatorom, ale lokatorzy okazali się biedakami i ojciec musiał sprzedać te domy, a za pieniądze ze sprzedaży odremontował dom na osadzie i dobudował drugą dużą kuchnię, w której urządził serownię. Zaczął produkować sery szwajcarskie i masło. Ale i tym razem przeliczył się z przewidywanym zyskiem. Nie zrezygnował jednak z serowni, postanowił oprócz serów produkować wino. W tym celu posadził 100 jabłoni i zaczął robić cegły - pustaki, aby z nich zbudować zakład winny. I tak oto wreszcie trochę wzbogaciliśmy się i żeby produkcja rozwijała się, ojciec przyjął pomocników: serowara, pomocnika serowara, służącą, parobka i pastucha. A nas dzieci postanowił kształcić, chciał nam dać to, czego sam nie mógł otrzymać. Ja cztery klasy szkoły powszechnej ukończyłam we wsi Stajki, a do 5, 6, i 7 klasy chodziłam w Baranowiczach na ulicy Szosowej. Potem zdałam egzaminy do Gimnazjum Żeńskiego im. Marii z Gillewiczów Piłsudskiej, ale krótko tam uczęszczałam – 11 września 1939 roku zbombardowano Baranowicze...

Kiedy w 1939 roku bolszewicy wkroczyli na nasz teren, zaczęli przychodzić do nas na rabunek chłopi ze wsi Ułasy. Ojciec wyszedł do nich i zapytał, czego chcą, a oni odpowiedzieli, że serów, więc ojciec otworzył piwnicę, a oni brali ile chcieli.

Na krótko przed wywózką przysłano do nas jedną dużą biedną rodzinę wieśniaka z Ułasów. Zamieszkali w naszej kuchni. Był także u nas służący Leon, który był sierotą i nie miał dokąd iść, więc poprosił ojca, żeby mu pozwolił u nas zostać. Rodzice oczywiście zgodzili się, a kiedy wywożono nas w lutym 1940 roku, dom i całe gospodarstwo zostało pod opieką Leona.

Kiedy byliśmy już na Sybirze, dostaliśmy od Leona list, w którym skarżył się, że w pokojach było bardzo zimno i „Panieczka, waszy fikusy i róża zmarły”.

Razem z nami, z osady Tocin, wywieziono również i innych osadników – naszych sąsiadów. Nie wszystkich pamiętam i nie wszystkich losy po wywózce spletały się razem z moimi. A może ci sąsiedzi, którzy przeżyli Sybir i nadal żyją, zechcą się ze mną skontaktować, abymy mogli podzielić się naszymi wspomnieniami i uzupełnić je.

Bardzo miło i serdecznie wspominam pp.: Grodzkich (byliście Państwo perłami mego życia), Wileńczyców, Stelmaszków, Czekałowskich, Sawickich, Łukasiewiczów, Wasilewskich, Ziemińskich, Ralcewiczów, Wojnarowiczów, Wypychłów, Biereśniewiczów i Nowaków. Więcej nazwisk nie pamiętam. Pamiętam jednak, że prawie wszyscy osadnicy z osady Tocin zostali wywiezieni 10 lutego 1940 roku do Gorkowskiej Obłasti, a z wieloma z wyżej wymienionych byliśmy w jednym posiółku Połdniewica.

Gdzie teraz jesteście? Co robicie? Odezwijcie się!